

TADEUSZ MALICKI



Polski Związek Łowiecki
BIBLIOTEKA
2288

W KOLIBIE NA JAWORZYNIE

Wdanie Księgarstwa
J. Róbynskiego
od autora.

KRAKÓW 1938
ODBITKA Z «WIERCHÓW» ROK SZESNASTY
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

W kolibie płonie watra. Purpurowe iskierki wznoszą się chwiejnym lotem ku ciemnym dranicom dachu i giną w błękitnym dymie. Leżę na pachnącej cetynie. Przez szeroko otwarte wrota koliby zagląda do wnętrza granatowa noc, cicha i pełna wiru gwiazd. Ze zrębu nad roztoką, dźwiga się coraz wyżej i wyżej czarny jedłowy las, kąpiący się w rosie gwiazd i w złotej łunie wschodzącego księżyca. Chłodna noc pachnie rosą. Na tle tej nocy w kwadracie niskich wrót koliby, siedzi Stanisław Przybytek, mój towarzysz wypraw łowieckich, ongiś klusownik — pogromca dzików. Białe rękawy koszuli, białe wyprawny porębiański serdak purpurowieją od pobrzasku watry. Głębokie cienie błędzą po wąskiej suchej twarzy, pod skrzydłem kłobuka wciśniętego na wylysiałą czaszkę. W małych oczach tlą się wiecznie żywe ognie. Ręce żylaste twarde i spracowane łamią od czasu do czasu gałęzie, którymi sycą watrę.

Pomiędzy nami jest milczenie, wymowniejsze od słów, milczenie, które przeżywa trud dnia wielogodzinnych dróg wierchowych i niezapomniany smak długiej wieczornej zasiadki na zrębie, wśród goryczek i rokicin, kiedy świat nieznacznie tonie w cichy mrok, przesycony zapachem dymów pastuszych i dalekim ich pośpiewem.

Pod brzaskiem wieczornej zorzy, złoto-purpurowym, daleki świat gór, aż hen po Babią staje się coraz bardziej granatowy, coraz bardziej wysoki i daleki.

Przeżywamy radość dnia w nieogarniętym świetle wierchów i roztok, w buczynowej tajni leśnej, na jasnych polanach, i w mrocznych wirydarzach chodników, tam — gdzie nas tylko chciały zanieść cierpliwe kroki myśliwca.

Właśnie wielki księżyc oparł się na jędrach nad roztoką. Od srebrnego zalewu światła posiwała rosą trawa. Ciepły oddech lasu zmącił się z nocnym chłodem, niosąc przez powietrze aromat skoszonego w dolinach siana, najśłodszy zapach górskiej ziemi, który towarzyszy wspomnieniom wszystkich najradośniejszych dni przeżytych wśród gór.

Pozornie bez przyczyny i związku powiada Stanisław: «Brat mi osiemdziesiąt akrów ziemi w Kanadzie dawał, zebyk u niego hań ostał. Nie chciolek. Tera zły na mnie, nie pisa będzie ze trzydzieści roków.

Mnie haw dobrze w Trubacyk wylecieć, w Pustki...» Tułał się po morzach i ziemicach cudzych, zarabiał krwawe grosze i wracał. Cały zarobek, trud lat płonął wraz z dworską oficyną, «ino sie siwiuskim ogniem te dulary paliły». Tam — na obczyźnie może lepiej było żyć niż w zapadłej gorcowskiej wsi a przecież wrócił do twardej poniewierki dworskiego sługi, człeka bez ziemi, jeno żeby móc w Trubacyk wylecieć... w Pustki...

Zawsze czegoś w życiu chciał. Małym chłopcem, poszedł piechotą przez góry do Zakopanego do szkoły rzeźbiarskiej, niosąc w zawiniątku wszystko co mogła mu dać matka: czystą koszulę, owsiany placek i zeszłoroczny oszczypek.

«...byłek pod Siaflarami i poculek głód. Ido... ido... doselek do kilometra przy smmentorzu w Siaflarak, siadlek se na kamieniak bo mie nogi zbolowały. Wzionek oscypek na tym kilometrze kamieniem tłuc telo beł kwardy...»

To było pięćdziesiąt lat temu. Mały chłopak z pod Turbacza szedł się uczyć, by wyrwać się z czarnej niedoli wsi. Pozostał w niej przemierzywszy oceany, pozostał na całe życie dla jednej jedynej pasji — dla łowiectwa.

Umie wszystko. Spracowane ręce wykonują najmistrzowszą robotę rzeźbiarską, bednarską, ślusarską, precyzyjnie i ze swoistym artyzmem. Wierny towarzysz, druh i myśliwy, surowy dla swoich, prawdomowny, prawy i delikatny, nieoceniony czuły opiekun, moszczący cetynę na krótki letni sen w kolibie, wytrawny tropiciel i przewodnik nocnych podchodów na dzika przy księżycu.

Opowiadajcie Stanisławie!

Nachyla się właśnie nad gaworzącym kotlikiem aby zrobić herbatę. Pijemy.

«...miolek spotkanie roz z dzikiem w Skalisnem Potoku. Wyselek se w Spolone w jarmarcny dzień. Flinte miolek osłozonom pod serdake. Ido a ciężko sie sło bo śnig beł wielgi. Pote zaś trza było dość potokie wodom iść coby mie dworscy nie wyslakowali. Dziwom sie a tu ze Skalisnego Potoka znać bande dzików. Narychtowałek se flinte, ido dali za świrzuśkim tropem a tu na Równiak pięci dzików, jak jałówki wielgie. Uchyliłek sie pocichuśku za wiatrołom a tu mos! spod kłody sunie prosto na mnie dzik jak kuń wielgi. Zamierzyłek z flinty, a biła ta lefosiówka pōnktualnie. Zamierzyłek rzeke

na samo coło, ale mnie jaze strach broł na tego dzika patrzeć, telo wielgom i siwom miał łeb. Strzelilek a on spod na kolana i został leżeć. Tamta cała banda koło mnie przelufrowała, ale nie było już casu do nik strzylać. Ido do tego dzika, patrzem sie z boku, no alek mu doł! Na samo coło kula przysła. Leży jak kopa siana wielgi, ino murcy. Myślem se: ty ta zdechnies! Nawrócilek sie du dom, a uważalek pilnie coby stracić ślad. Skakałek po jałowcak, po buckak, selek potokie, jazek zasał dudom. Nie wlażek do izby, zacymek nie nabrusił sikiry.

W izbie dziwek do stu djabłów. Zesły się prządki len przojść, rajcujom, śmiejom sie. Moja niebozycka Hanka widzi po mnie ze cosi mom, ale jakze jom z izby ciongnonć kie takie babskie mrowie. Pofiglowolek śnimi kwile pote my powiecerzali a kie sie zaceno zmrokcać baba suko za lampom a ja jom za katane. Widzom baby ze ćma sie robi, światła nie świcom, zabrały sie sitkie do pola.

Uryktowali sie i my i poza ogrody poślimy z Hanką. Idziemy już po ćmoku przychodzimy na to iste miejsce. Sukom co sie stało, dzika nima!

Straśnie mi sie zrobiło markotno. Rzeke do Hanki — e babo zebyś ty widziała kiel był dzik! Musieli go dworscy najść i zabrali.

Bez te prządki psiokrew my sie opóźnili.

Telo mom ino uciechy ze sie musieli cudować ze go dobry maśnik zabił co na samo coło trefił! Haj raty! cała góra misa sie nam straciła.

Ale przecie nie dawało mi to spokoja. Wybrołek sie na drugi dzień o świtaniu. Mróz był wielgi. Leco roztokom ku Starej Hucie... ślaku, znaku! Słyso, a tu cosi nademnom hurcy! Pozirom przez krzoki, a tu mój dzik! Kiz sie djabli stali ze on na coło strzylony i posed. Tak se miarkujem, ze go musioł paralus porazić bo widzo ze go nogi nie niesom.

Wylozek z krzoka a ten pozira do mnie. Gwarzem do niego: E musiała cie bez noc głowa boleć.

Ta bestyjo do mnie tute ozdziawił, kielcami strugo a z tuty sie krew leje z pianom. Miołek ino sikire, a zaś ku niemu z sikirom iść bojno, bo jesce dość krzepki. Łap ja za kamien i beł! w samom łeb! Skwicół, ale wse do mnie kłapie. Jo za drugi kamiń i zaś, po trzecie jazek natrafił na takom skalke końcystom — beł! w samo to miejsce ka był strzelony. Zapiękło go bo sie wywrócił na bok! Pomalućku ślozek ku niemu, a ten burcy jaze bojno. Zacionek sikirom na łopatke, ale słabo, bok przy tem skielznał a ten łap tutom za toporzysko. Jo hip na brzyzek. Zaś pierem skolami do niego. Ten sie otrząsał, sikira odpadła i wlece sie pomalućku do takiego baniora i tam lóg! Jo na stare miejsce, złapałek sikire i dopirok go w tym baniorze ubił.

Stojem nad nim cały juchom zlony i ozmyślujem jakze go tu w tyj wodzie robić? Woda od krwi cyrwona, mogom ludzie na dole postrzec.



Puszcza w Gorcach (rezerwat im. Orkana)

Fot. Stefan Jarosz

Woda zimna robić śnim w nij nie bedem, a dźwignonć takom góre som nie udolem. Miołek powróż ze sobom, ścioneł smrecka, zrobilek zolustynek, uwiązołek mu powróż u zadku i ciongnem jaze mie w krzizu spiekło. Wyciongnolek zad na brzyzek, podparłek kamieniami, ciongnem zaś zolustynkiem za przodek. Takeg go miał juz na brzysku. Zrobilek maśkierunek, i poselek dudom.

Letko mi sie sło, bez to zek go przecie umęcyl!

Mówiem do Hanki: — Babo zbirojsie, pódziemmy po tego dzika, ale jest groźny. Wzieni my conieco zjeść i poślimy. Łupilimy go w krzakach jaze do zmroku. Nie chciała sie skóra oddzielić, ino my jom nozem od spyrki odrzynali.

Wziena Hanka przedniom noge, nimogła se jom nadać na plecy telo była ciężka. Jo wzion zadniom. Obrócili my sie o nocy zaś i wzieni po nodze. Kie my śli po trzecie, nie kciały nos juz nieść. Wzieni my brzemie ogromne, całe krzyze ś niego jo som na sie wzion, alek sie przy tem oberwał zek mało zywy dudom przisel. Chwyciła me gorącka, kolki klujom, nogi sie podemnom płacom. Ido, ido i nie wim ka jestem, co robiem. Juz dniało kie my sie do chałpy zawlekli. Lezałek panie cały miesiąc w łózk. Taki sie fajny tłusc na kuchni gotował, takie miso, a jo jeść nimóg zanic, jaze mie złość brała.

Po miesiącu poselek za skórą to my jom z Piłkom ledwo we dwuk na drągu śnieśli. To był dzik — raty!»

Rzucił wielką naręcz gałęzi na wiatr. Burza iskier uderzyła w strop. Widziałem przed oczyma tę srogą, w surowych słowach skreśloną walkę człeka z ogromnym zwierzem, walkę na kulę, topór i kamienie. Zapachła razem z dymem żywicznym — dawność.

Cichą noc zmącił gwar głosów ludzkich. Daleko od koliby ścieżyną ku Tobołczykowi szli ludzie na jarmark do miasta. Szli chłodną nocą, gwarząc. Śmielszego zwabił pobrzask naszej watry. Zbliżył się ku kolibie wołając z daleka: «Coście za jedni ludzie?»

Stanisław — facecjonista odkrzyknął w noc: «Wy sie nos nie pytojcie cośmy za jedni, ba rychtujcie lo nos dudki, co je niesiecie na jarmark!»

Pytający szybko wsiąknął w ciemne drzewa.

«Nie wojenne som dziś nase chłopcy — mruknął wesoło Stanisław. — Bele co ik spłosy».

Ten śmieszny incydent dał mi impuls do pytań o sprawy, które mnie z dawna interesowały.

Posłuchajcie Stanisławie, nie pamiętacie co tam ludzie za waszej młodości rozprawiali o zbójnikach?

«Tutok u nos po Gorcak tota po prowadzie zbójników nie było. Słysząc było ale o innyk ze świata od Tater i o Orawcak.

O nasyk to mój własny ujek co słuował u Cichorza opowiadał, że widział na Buholowem siubienice, ka dwunastu zbójów obiesili i som iście pochowani na tyj kempie, co Jędrus po zajacu siedem razy strzył. Ci zbójcy byli tutejsi, porębiańscy, co jakomsi kase w Krakowie zrabowali. Gwarzili ujek ze sie popołedniu umówili, wieczór stela pošli, a na rano sie bez te jednom noc z Krakowa obrócili. Ale ik połapali. Dwór doł drzewo, skrzესali siubienice na tyj kempie i tam ik powiązanyk zawiedli. Wisali ik w dzień po jednemu. Mówili ujek, ze temu ostatniemu kie mu juz powróz na syjom kładli ciurki z ocu leciały. Krzicoł: Ludzie! ej ludzie! skroś tyk siedmi trojaków, marnie ginem.

Drzewij, to tu chodzowali zbójniki od Tater i z za Tatrów. Mieli takie piwnice popod Jaworzynom Kamienickom to w nik siedzieli. Mozecie sami panie popatrzeć i dziśka jak te dziury idom. Jedna tak, jak pod Truboc, druga jak Lubomirz. Idom te dziury spadkiem dołu, ale potem je ciasno, musieli sami zbójnicy zasuć siutrem. Zasypane, zasute. Wzieni roz owcorze — mówi baca Bulanda — koze, wegnali jom w te dziure to dopiro kasi na dobrzańskim wylazła. Boki miała ze sierci odarte, telo tam musiało być ciasno.

Haw mioły zbójniki przesmyki, najwięcej popod Truboc. Pod Trubockom syjom na Limierzach stał tam jeden baca, na samym jejik ślaku. Cho-

dzili ku niemu ci zbójnicy na syr. Co urobił — zjedli. Gwołtem nie brali, ba ino pytali — dej! — no kiebyś im nie doł, to by ci wypłacili.

Ty mos dość — nom hybia — gwarzili do niego. Płakał, a dawał, coz miol robić kie chłopcy były ze zbrojom i wielgie, mocne. Umyślił se przecie baca kainendy sie przenieść. Coz jo tu bedem na nik robić — myśli se — stracem sie z tyj polany, bedzie spokój.

Tak i zrobił. Co sie nie dzieje, nie usiedziol i kilka dni, patrzy a tu idzie polanom taki chłopiec, co ze zbójnikami chodzował i rzyka: Przislali mie tu kolegowie na syr. Dawajcie a pilno.

Zbójniki co go wysłali, ułożyli sie skraju lasa na tota strona, ale ani baca o nik nie wiedziol ani oni ku bacówce widzieć nie mogli bo polana była garbata.

Jakeś ty mie haw naloż? — pyta sie baca.

Wyślakowalek vos.

A kaz twoi kolegowie?

Wy sie o nik nie starajcie a dawajcie syr, kie kazali!

Pocekojze kwile — gwarzi baca — hnet bedzie gotowy. A sam se myśli: Jo cie tu oducem na mój syr chodzić.

Wzion kule, co na nij kociol wisi, i z nienazdania prasnoł tego zbójnicka w łeb i zabił. Kie go zabił i widziol ze juz je niezywy, wzion go za karman, wywlókl ze sałasa i przykrył patykami.

Cekali zbójniki w kraju lasa i cekali, a kie sie im juz cosi długo widziało, zabrali sie sami ku bacy iść. Przychodzom ku niemu śmiało, stanęli u sałasa i pytajom:

Ka nas brat, co tu u ciebie był?

Ulonk się fte dopiro baca kie ik zaś uwidziol. Stały chłopcy w cerwonyk portkak, wielgie w opaskach po pachy. Za opaskami mieli pistolce po dwa po trzi. W garści fuzyje. Kosule na nik były corne od watry, włosy długie, kręczone do warkocy.

Tu go nie belo — prawi baca, a cały stał biały na gembie.

Gdzieś go schowol — krzicom.

Jo go nie chowol, nie widziolek hawoj nikogo na sałasie.

Podniósł jeden tom kule a na ni była krew i włosy tego zbójnicka. Na progu — krew. Za sałasem krew.

Co to za krew — pytajom.

E dy urzezalek dziska barana.

Oni nic ino za tom krwiom pošli i našli zbójnicka pod patykami. Prziewiedli ku niemu bace.

Takiegoś barana urzezał?

Najstarszy prawi: To to tak baco? Cemuześ go zabił? Dy nic po tobie nie fciol jacy krug syra. Mały beł a tyś chłop wielgi!

Klenknom przed nimi ten baca, płace i gwarzi:

Loboga zbójnikowie! Wywiedlibyście wy mnie na dzioda. Skrony was o z owcami kainendyj uciók, bok już swoje przez was zbył i ludziom by chybiało co sie im patrzy z miru.

Cemużeś nom nie pedzioł co jako? Kiebyś był tak jako dziś sie uzolił, byliby my ci zapłacili i dobrze!

Nie śmiolek!

A zabić toś śmioł? No pockoj!

Kazali mu ci zbójnicy wszystkim żentyce jaka była na sałasie do największego kotła wlać. Kazali mu drwa narąbać i pod kotłem ozłozyc watre. Pote go wzieni, uwiązali rence do nóg i tak go do tego kotła wrzazili. Usiedli se społem dookoła, nie mówili nic ino fajki zapolili a sajty pilno podkładajom. Pokiela móg, pytał ik baca coby mu darowali, pote omgłoł. Kie już ciało na bacy zaceno pyrceć, zabrali sie i pošli.

Paciorek se zmów — pedzioł ostatni — za tego chłopca i za swojom zdradzieckom duse.

Pošli chodnikiem a tu napotkali owcarzy. Żenom owcarze owce na połednie i zapatrzili sie do tyk zbójników, telo sie do słonka tom zbrojom świcili.

Stanęli ci zbójcy rzędem, owcarzy przepuścili telo im ino rzekli:

Idźcie moli, moli, macie tam na sałasie uwarzonego barana.

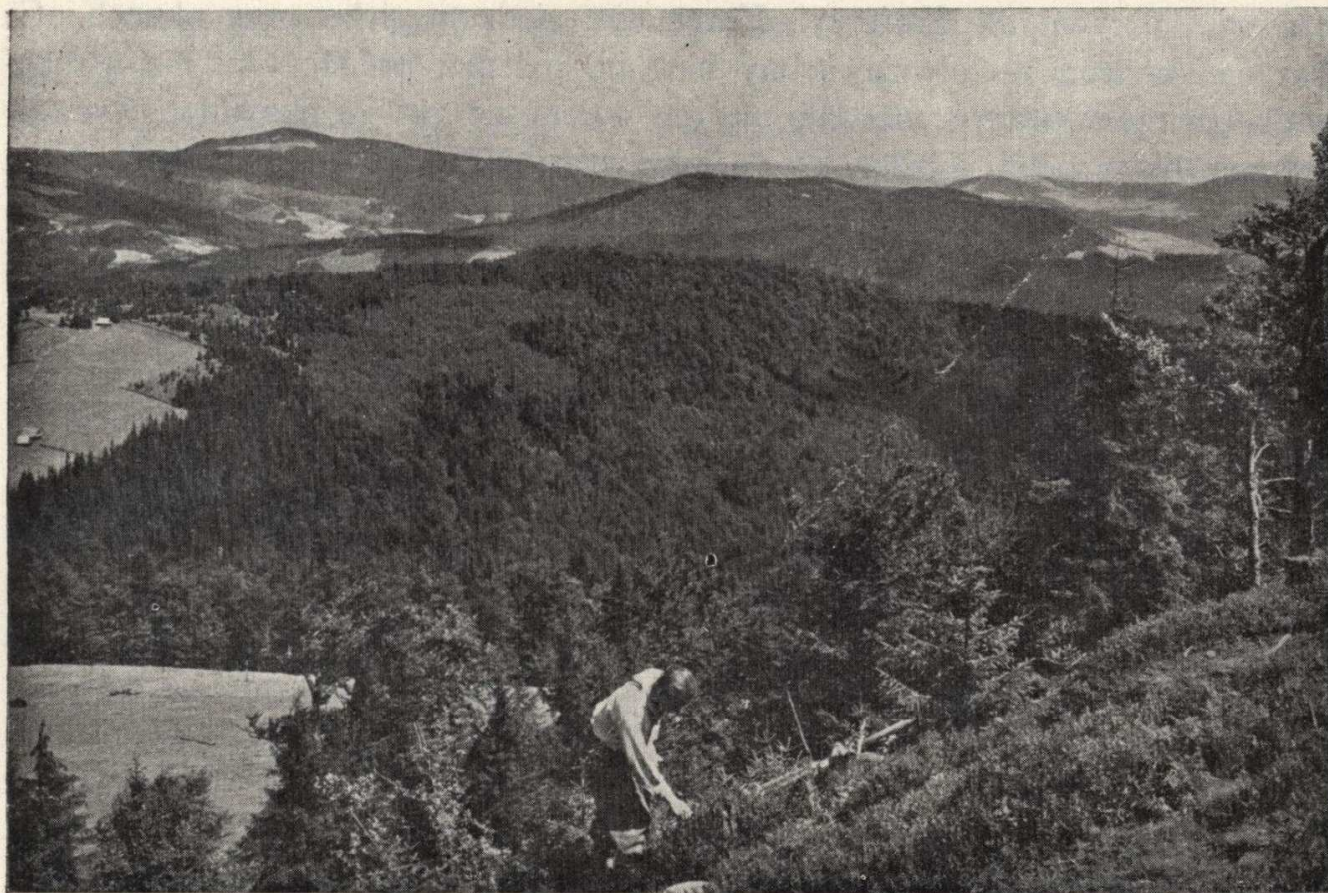
Pošli, ale se po drodze ci owcorze ugwarzujom:

Co to takie może być, dy my przecie sitkie owce wyzenili? Abo oni barana przinieśli, abo sie z bacom cosi musiało stać!

Hej! Našli go jak w kotle ku nim gołe zęby scyrzył!

Tak to beło. Baców nie napastowali, jacy ino o syr, o żentyce, zwyczajnie, kie głodni byli. Światami sie przecie nieśli to sie i posilić musieli. Kie im kto na zdradzie stoł to sie mścili. Nojracyj na karcmy napadali, na dwory, na gazdów hrubych, kie sie im zwidziało abo ka wyspekulowali ze u nik dudki som.

Nieobdalno od tego miejsca kaście panie łoni w gminnym porębiańskim cietrzewia zabili (hej pięknie tyz tuloł) już popod same Stare Wirchy stała karcma. Som ta po nij jesce opalone ligary na polance. To już downo! Siedziół tam karcmorz z karcmorkom młodom. Dokoła nad rozłokom lasy hrube, ino ze taka dróga haw tamtędy sła jako i dziś idzie, bez Wirchy, bez Rozdziele ku miastu! Tam ta karcma stoła. Našli sie takie opryski skądsi z Orawy co do tyj karcmy przyšli samodwa. Kozali se dać jeść i pić a pilnie sie po izbie i ku kumorze poglądali. Pod wieczór zapłacili i kasi pošli. Nie widzieli sie ci chłopci karcmarzowi, polecioł za nimi pocichuśku na wyziorki. Oni śli lase hore, on za nimi. Siedli se na kamieniu nad Rozdzielem, ten isty kamień po dziś dzień hań lezi i gwarzom:



Widok na Gorce z Kudlonia

Fot. Stefan Jarosz

Karcma jest je bogata, karcmarecka fajna. Penize musom być w kumorze w skrzynie bo kaby inendyj? Sługi nimo, nimo sie co bać! Pódziemy ku nim kie sie ułożom spać! Nie bedzie fciół dudków dać, to go zabijemy, a z karcmarecką potańcujemy.

Na to ten drugi: Chłop sie widzi mocny i nie głupi. Joby go o dudki nie pytał ale byk do razu z pistolce ustrzelił. Nimo co śnim długo narabiać, choć ta miejsce puste.

Mówili po orawsku i takom zbójnickom gwarom, ale karcmorz im zrozumiał. Jaze zmiertwił kie to usłysał!

Obrócił sie pocichutku ku karcmie. Idzie wartko a po dródze ozmyśluje. Cy sie z babom ku wsi zaraz brać, cy sie bronić. Jest je ik ino dwa, a tu baba słaba po połogu, dzicie małe, dudków tyz dość, nie letko by sie z tym sło. Lepi kie sie na nik haw doma naryktujemy.

Prziseł dudom i gwarzi babie jak i co. Baba uradziła, coby dźwi w kumorze zamknąć i zastawić, okiennice zamknąć tyz, a były hrube, brzostowe i z sikirom sie przy oknie zatajic. Dźwierzy nie ozbijom bo gwoździami kute, heba zeby okiennice wywazyli, no to sie za okiennicom zatajimy z sikirami, niek sie dzieje co chce!

Tak i zrobili. Za jakisi cas kie juz całkie zmrokcało, wrócili sie ci

orawcy i burzom do dźwierzy. Karcmarze siedzom cicho przy oknach. Ci burzom, krzicom — otwirojcie my haw na palenku przišli. Oni nic. Próbowali dźwirze wyważyć, nie dało sie im, wzieni sie zaś za okiennice, wyrwali jednom, błony pobili i jeden łeb do izby wraził. Wte go karcmarz bez łeb si-kirom i niezywego do izby wewlekli. Ten drugi dopirz teraz uwidziół co sie dzieje, uskoczył od okna i z pistolca bez okno do izby strzelił. Kula w ścianie nad samom kołyskom pała!

Wte wzion krzyceć:

Budzies widzieć gospodzki co ja ci udzielam! Budzies widzieć!

Z tym sie zabrał.

No wybronili my sie — gwarzi karcmarz ku babie.

Wzieni tego zabitego wywlekli na młake, a sami wrócili sie do karcme, zabrali co zabrać mieli na wóz, wołu zaprzągłi, karcme zaparli, gwoździami okiennice zabili i znieśli sie dołu hań w to miejsce ka dzisiok Jasiok Kraluz.

Markotno było temu karcmarzowi ze nimoze synkować, ale sie boł. Tak mineno w sam michalski miesiąc węcyl jak ćwierć roku, przisło ku niemu pod wieczór trzek chłopów. Ludzi dokoła nie było. Wleźli do izbe. Baby tyz nie belo, zabrała sie ku matce w Porębe. Noc była cichuska jako dziś, ksionżyc świciuł.

Kie ik karcmarz uwidziół, wiedziół co bedzie.

Ka mas penize gospodzki — pytali sie.

Penizy u mnie nimos, dalek księdzu na Olsówce przechować.

Doleś przechować? No to ik haw nańdzies. A poznajes ty mie?

Nie! Pirse cie widzem.

Pirse? A kto w karcmie na Wirchak mojemu kamradowi łeb ozbił?

Tego to jo nie wim!

No to jo ci przybacem, tak samo ka dudki mos, przybacem ci tyz.

Położyli go na ławie, uwiązali za nogi i ręce, ozwarli na nim kosule i nasamprzód na goły brzuk goroncom wode, co sie na ogniu warzyła — lali!

Ten krzycy, lamentuje.

Ka mas dudki?

U księdza w Olsówce!

Lejom wode zaś aż całkie pamięć stracił. Wzieni go krzysić wódkom i zaś go na spytki, ale nie wydał nic! Wiedziół ze go i tak za ta tego kamrata zabijom.

Dali mu chwile dychnonć, siedli se na ławie, palnenke pijom, ugwarzujom, śmiejom sie.

Po jakimsi casie zaś o dudki pytajom. Kie im juz ani nic nie odpedziół, gwarzi ten nostarsy: No, to tobie juz koniec! My ci tu pieknie odpłacimy za tamtego towarzysia, ino pockej!

Sjeni go z tyj ławy i wynieśli do pola na brzyzek nad potokiem. Tam go ciśli.

Lezy korcmorz na rosie, na zimnyj, pozira do nieba na księżyc, na gwiazdy, ostatni roz. Modli sie pocichuśku o prędkie skonanie. Tymcasem zbójnicy sukoli na oborze łańcucha. Našli go i w kuminie, pośrodku ten łańcuch do cyrwona ozpalili. Przyšli z tym łańcuchem na brzyzek, podnieśli karcmarza na nogi i tym łańcuchem opasali bez pól. A pote go ku wodzie stulali. Beła tam skrzyżał nad samym potokie, to sie na nij obiesił i tak został przez pól ciała przepolony i umar!

Nawet i ta skrzyżał sie opoliła i jest podziśka u Kraluzów nad potokiem, przydymiona.

Srogie wte zbóje byli!»

Stanisław umilkł. Księżycowa noc zagładnęła na klepisko koliby jasnym chodnikiem srebrnej poświaty. Watra niesycona drzewem, przygasła żarząc się rubinowo. Daleko od Działku, słysząc było jęgliwe pohukiwanie sowy.

«Dobrzeby było dzisiok na Suhore na owies zagłodnonć, musi dzik tam być».

Mamy czas.

«No dyj prowda. Na Wyśnij wcora zryły, nisy sałasa. Na tym sałasie tyz kiejsi baca siedziół ale uciół, cosi tam strasyło. Gwarził ze sie ziem tam poliła. Suoł na tyk miejscak, nie znoloz nic ino sie mu łopata osmałiła. Musiały han być piniądze zakopane ale diabelskie.

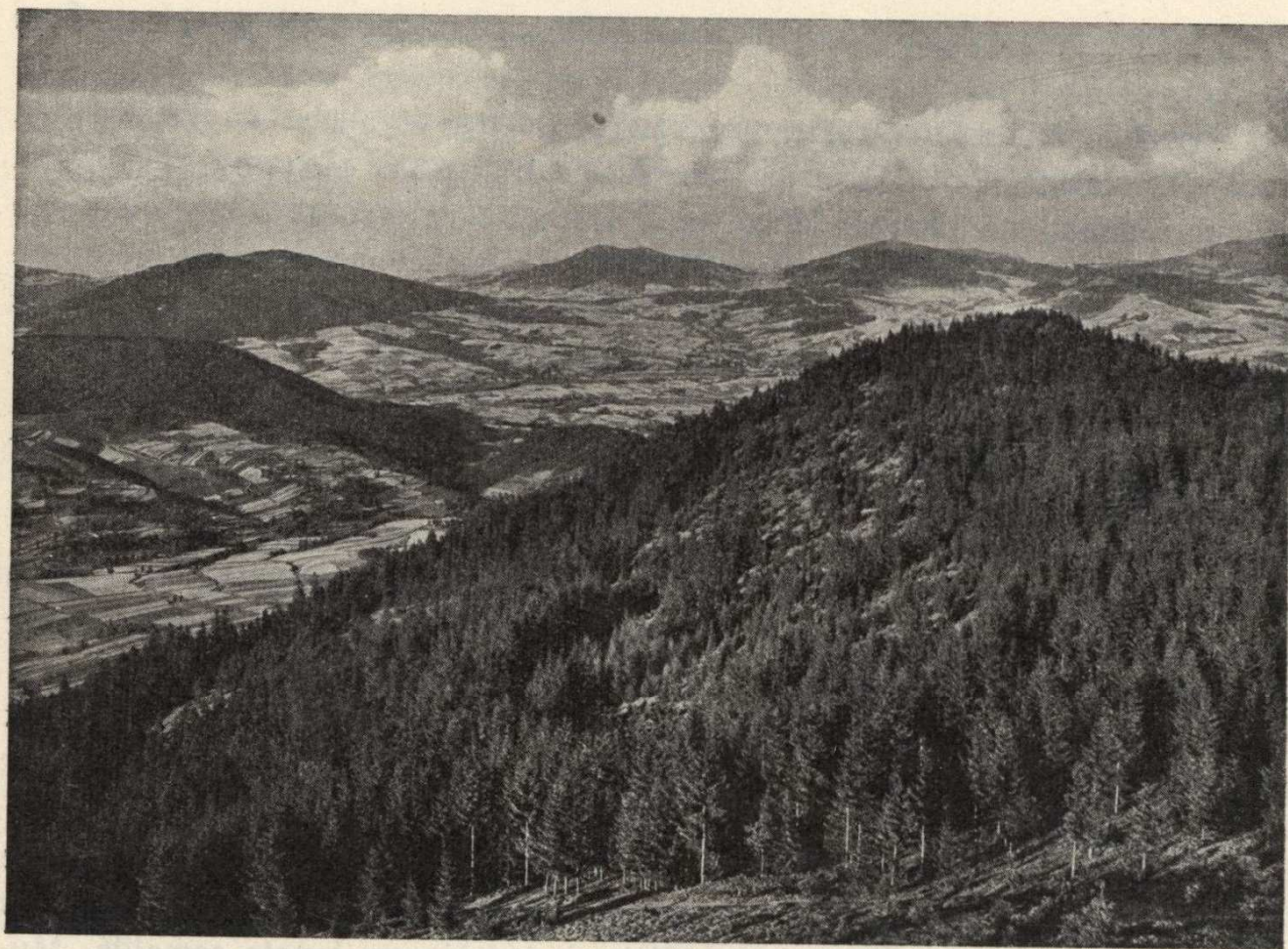
Trafiały sie i inne. Nieroz, nie dwa, kie zbójnicy z rabónku śli, to ik abo dworskie hajduki, abo i wojsko ozbiło ze pomykali hań bez góry samojeden, samodwa. Zrabowane nieśli, ciężko im było, to zakopali dudki pod skrzyżałom abo pod jedłom, miejsce zaznaczyli, piniondze zakleni, i pošli.

Na Kamienickiej Jaworzynie nieobdalno od koliby były zakopane takie zbójnickie penize, ale kto ik zakopał nie wiada, ani ludzie nie wiedzieli, ka one lezom. Gwara ino o tym sła. Bacował hań Mikołaj Bulanda a ten i carować umiół i licyć ludzi i bydło, jako baca.

Kie sie z owcami w jednom wiosne hań wynieśli mieryjdowali owcarze mieryjdzisko. Bili kołem zeleznym dziury ka mieli słupy kłaść, i trafili na takom skrzyżał, co ani dziury nie przebije ani skrzyżali nie dźwignie.

Idom ku bacy i mówiom: Baco! nimożemy na tym miejscu nic robić bo nos skrzyżoł nie pusca.

Cosi se ten Bulanda zmiarkował, kazoł im kainendyj kosor robić. Pošli, sukali, našli takie miejsce dobre i hań robili. Bulanda pošli, ka ta skrzyżał i widzi ze była kiejsi dźwigana bo miała końce obite zelezem i jakiejsi po nij były znaki. Casu miół dość, owcarze pošli z owcami pod sam Trubac paść, zrobił se zolustynek i tom skrzyżał het dźwignoł i obrócił. Nie chciała sie



Widok na Gorce z Lubonia

Fot. Stan. Mucha

tak łatwo dać dźwignonć nie zeby zolustynek był płony, abo skrzyżał za wielga, ale widno było ze nie chce puścić. Miał na to baca sposoby, dźwigła sie!

Dziwo sie — a tu pod skrzyżałom dziura, w nij kotlik a w kotliku penize! Musiało być ik majontek, bo kocioł był jak na żentyce i pełny! Wewlók go kainendyj w krzoki, ślaki ka go toczył zamaškirował, i miał sie ku tyj skrzyżali brać, zeby jom na swoje miejsce nastawić a tu mos, prziseł najmłodszy owcorz co miał robić drwa a śnim mój niebozycek ociec — Antoni mu było — prziseł do miru. Widzom ze skrzyżoł dźwigniona a dziura pod niem wielga, od miedzi osiwiana.

Podropoł sie Bulanda w głowe i gwarzi do ojca: Wicie! wicie! Zabralek sie na polany popatrzeć co jako kany a tu cosi musiało bez ten cas przijść, kotlik z penizami zabrało! Hej raty! musioł sie tyz nimi skrzepić! Ale kto by to miał taki być? Bili owcarze doły pod słupy, nie dało im haw bić. Musioł ten zmiarkować że trza sie wartko z tym zabrać stela.

Nie widziało sie to mojemu ojcu nieboszykowi, ale nie odezwoł sie nic, bo coż bedzie gwarził kie sie ten kryje.

Widno było pote ze sie ten Mikołaj Bulanda zбоgacił i jak! Ale chłop był dobry, dość ludziom pomagał.

Nie nachodzili ludzie tak mocki tyk piniendzy bo były zaklente i trza było na nik wiedzieć sposób. Bali się tyz, bo przecie wte jesce widowali po polak strzygonie, dziwozonki płanetniki, wierzyli w nie świence. Trza było wiedzieć sposób jak tu takim przyjść. Dzisok się z tego ludzie śmiejom, ale przódzi nie było im do śmichu kie im dróge zastompilo i dali nie puściło. Musioł się wrócić kcioł cy nie kcioł.

Różne to bywało. Jo sam takie widzioł, co temu do dziśka nie rozumie...»

Stary dość pilnie zaczął poprawiać watrę. Zaśnięty płomień liznął łapczywie chraść, jaskrawy wysoki płomień zalał wnętrze koliby.

Cóżeście takiego widzieli Stanisławie?

Chwilę stary żuł szczękami, zapatrzony w płomień.

«Jo z małego nie byłek bojaźliwy, bo nima się cęgo na świecie bać, ale kie se na to zbacem cok widzioł, troche mi bojno, bo do dziśka nie rozumiem temu.

Byłek fte małom chłopakom, miołek siostrę w ćtyrok latach a mnie licyli może dziewięć, może dziesięć. A były jesce przy nos ze społectwa dwa dziewczenta i jeden chłopok. Jo pas barany a tamci gensi. Zyto się wte suło. Barany obległy pod brzyzkom, gensi przy wodzie, słonko parło. Był hrabski trac nad to wodo nad Kuninom koło osiedla Bekaca, a był na naszym groncie. Trac był dookoła obity desckami, ale jedna descka była oburwana to my do tego traca nieraz po ciekawości włazili.

Skoro my mieli cas, mówiem do tyk dzieci — późdzmy sukać ptoków na tracu! A te gniazda były wysoko nad bantami. Skoro tam nie było nic wleźlimy pod trac i zobacyli my do razu na tym wale ka się obraca koło wodne i palecne cosi takie, co było udane jak lalka, a głowe miało nie więksom jak jajko. Włosy miało strącyste, lewom renke na uchu, prawom na biedrze i to było ziwe.

Głupie my byli, wzieni my w to prac skolami. Ale ono się raz po razu uchylało. Az tu nase dziwce krzykło, że barany w zycie. Sitko wyleciało do pola a jo ino krziknoł — pockojcie mie! Chycilek za kamien i beł w to! w samym głowe na coło kamien prziseł. Kopyrtło się i wpadło pod koło do wody. Tam się straciło. Poziralek za tem ka je, wylecialek nad wode — straciło się. Wte mie strach obujon!

Niedługo pote woda trac zabrała i na tym miejscu ustawili mój tata młynek. Wse mi było bojno tam iść i cliwo nawet pote, kie już byłek chłope!

Nie dziwota, że choć bida, ludzie tyk dudków nie sukali pilno! Casem się same odkryły.

Jak stara karcma na Tyrawie pod Lubomierzem, tam były w brzegu nade drugom zatajone piniondze. W kwietniom niedziele sła jedna baba ku matce do wsi, a tu zaraz u Marka brzeg się do słonka oberwał i kotlik się z dukatami wysuł. Nie było jakosi nikogo na drudze to się babina zwinęła,

wziena te dudki do zapaski a kotlik prasała do potoka. Były tego wielgie brzemie, ledwie dudom doniesła. Chłop siedziół w izbie, pozira na niom bo baba była na gembie cyrwona, uznojona i pyta sie: Coz to takie dźwigos?

Wysuła baba te dudki na łózko, i mówi co — jako. Wzieni je oglondać a były i złote i śrybne ale złotyk było wiency. Nie mogli nijakim sposobem wyrozumieć temu kielo te dudki płacom.

Do miasta niść bali sie, ze im zabierom, no to pozwalali takiego przekrzte co siedział na Rzykach coby przeznoł te piniondze. Widzi przekrzta kieli to majontek, ale gwarzi ze on tym dudkom nimoze wyrozumieć i za kielu ryńskik te dudki mogom stać. Pytali go coby po wsi nie ozpowiadał to im obiecał i poseł.

Za jakisi cas wybroł sie jij chłop z deskami do Bochnie. W nocy baba śpi a tu dźwirze wywalili jacysi chłopci na gembie znurcani, chycili babe za rence i pytajom o te dudki co je nasła.

Nie fciała wydać. Ni — pada — nimom dudków, naślimy to prowda ale je chłop ze sobom do Bochni zabrał, na wymianki.

Wzieni jom mencyć. Lali jij gorącom wode po piersiach, baba nie wydała. Lali wode po plecak, po nogak, nie wydała.

Widzom ze ji nie dadzom rady choć baba mało ziwa ale kwarda. Pockojze my ci tu jesce cosi kasi pokozemy, gwarzom do ni.

Wzieni sierdzeń, ozpalili w ogniu do cerwona i chcieli tyj babie wrazić do.... wte zesłała i wydała. Zabrali piniondze i pośli.

Wtedy sie dźwigła i tak jak stała zabrała sie do ksiendza pozolić. Zasła ku mojj matce mało ziwa i wte jom matka widzieli na ziwe ocy, poranionom i spuchnientom.

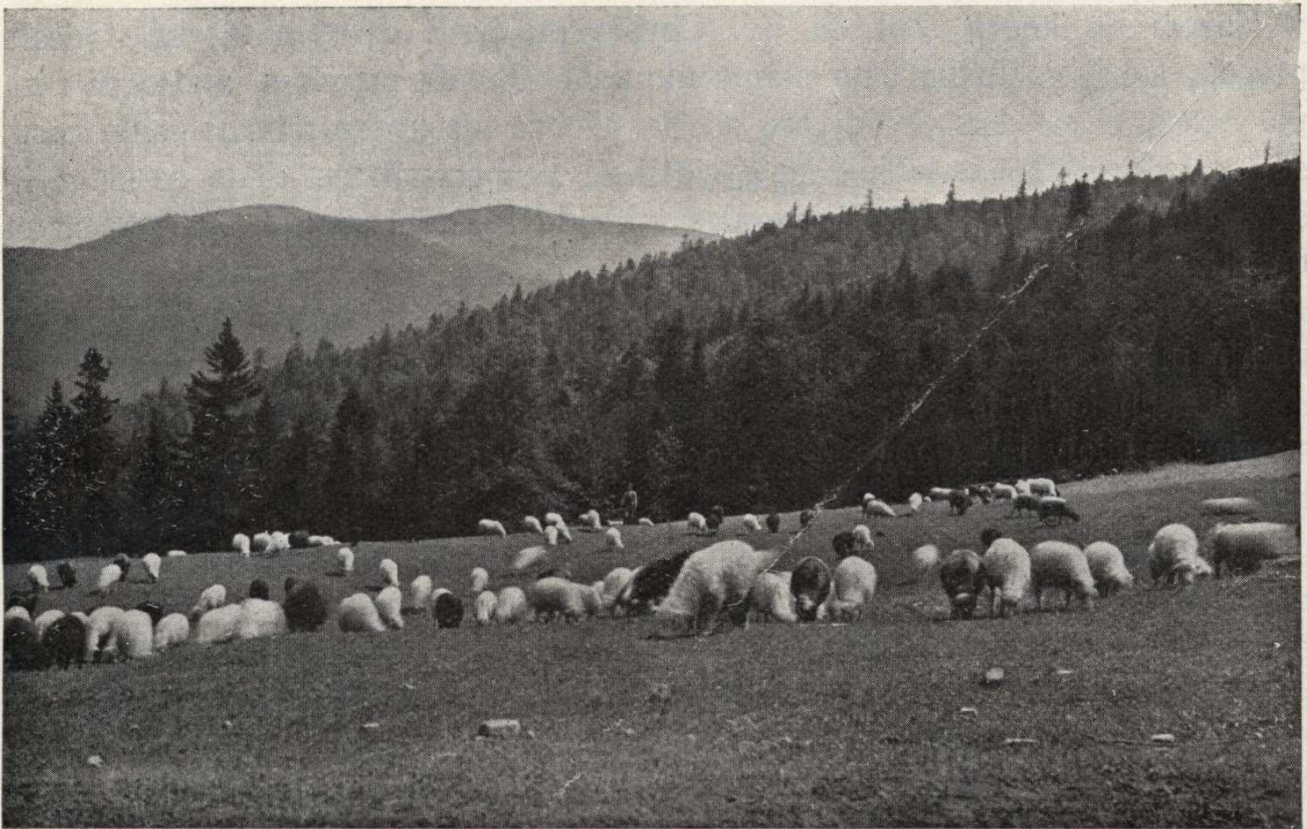
Przekrzta sie kasi ze wsi stracił. Babe ostawił i — ślaku znaku po nim. Widowali go pote kasi nasi ludzie na Węgrak, ka rozpocął z nowa zidowskom wiarom. Tym to ta nie wysło tak dobrze, jako Bulandowi.

Musiały te dudki być jakosi zaklente ze z nik nie mieli nic ci co ik naśli.

Dyjto przecie nie tak dawno jak Cichorcyk korcował z Kuciapom jabłonie na ogrodzie. Korcujom takom starom wielgom jabłoni co juz nie rodziła, bijom bikiem pod korzenie, a tu cosi zazbyrcało. Wzieni pomaluśku okopować, naśli kotlik a w nim piniondze, nie wiadomo cy zbójeckie, cy z rabonku. Co tu robić, ludzie dokoła, dzieciska, zasuli toto ziemiom i tak sie umówili ze kie sie bedzie zmrokcać haw sie zeńdom i podzielom, kie juz nik nie bedzie na nik uwazować. Kuciapa beł chłop powolny i fajny, Cichorcyk wartki i chytry.

Co tu gadać, ubiegł ten Cichorcyk Kuciape, dudki zabrał i pote przisel i cudował sie co to mogło być takie ze im ten kotlik zabrało.

Musiało być i tyk dudków moc, bo sie Cichorcyków syn po wsiak tulół, pił, płacił a sam Cichorcyk nawet hrabiemu Aliksandrowi piniondze pozycył.



Gorc z pod Kudłonia

Fot. Stefan Jarosz

Jak nastał Hadicak na leśniczego do Poremby pokazał mu taki Sobestyjon na Rozdzielu jedle, co w korzeniak miała dudki zakopane. Našli chłopi tam kotlik i do majstratu do miasta zanieśli ale były płone, miedziane. Nie płaciły nic abo mało.

A kiela ik jesce lezi w Gorcu, w Pustkak, na Trubacyku, na Luboniu, fto ta wi fto by ik policyl?

Ci co ik pochowoli, dawno ziem gryzom, abo zabici, abo obieseni, abo pomarci.

No panie! Trza sie nom brać w Suhore. Te chłopy comy ik nastrachali dawno przešli, wiatru nima, cicho, jasno, biermy sie!»

Zaraz Stanisławie, jeszcze chwilke, mówiliście że dawniej ludzie wierzyli w dziwożonki, planetniki, strzygonie. Jakże wyglądał ten strzygoń i co robił? gdzie siedział?

«Strzygoń był to cłeczek nie duży, cały obrośniony włosem jak dzik, telo ze zębce i pazdury miał wielgie. Siedział w takik pustkach, na rozdzielach, na śtyrbnych brzyskach, ludziom despecił, przeganiał z wyrębu, a i nieroz zabił abo udowił.

Beł taki chłop nazywał sie Pasternak a niedawno sie ozenił. Baba jego beła za służke u innygo gazdy, wołali go Michalorz.

Kie sie ten Pasternak miał zenić, mówi do swojij coby sła ze służby. E wis — mówi ta dziwka — nolezy mi sie 5 łokci płótna na paruche, kie

wysłuzem do końca. Zol mi iść. Chybia mi jesce dwa miesionce. Odesła przecie, ale ji gaździna tego płótna nie dała. Wołała na niom, ale ta ni i ni, nie nolezy ci sie, boś przed case odesła. Dobrze niebardzo mineno mało casu, śpi se ta gaździna w izbie i śnije sie ji ze sie pokozoł ten chłop co sie z jij służkom ozenił, pokiwoł do ni palce i gwarzi: Oddej moji to płótno, co se na nie zasługowała.

Obudziła sie, mówi swemu tak i tak mi sie śniło ale, pada, jo jij tego płótna nie dom bo sie ji nienolezy.

Chłop jod, nie goda nic a pote wzion woły orać. Na połednie obrócił sie dudom bioły jak wapno. Pada do baby: Babo mirzój siedem łokci płótna i pošlij Pasternakowi.

Cyś ty chłopie zgłupioł, krzycy ta baba, niedość ze sie jij nie nolezy jesce mom ji dwa łokcie więcy dawać.

Moli — pada chłop — mirzój płótno. Trza temu chłopu na gacie i śmiertelnom kosule słać telo — kielo sie wse — dawa łokci 7, bo on juz nie zije i umarty do ciebie przisel o płótno prosić. Strzygoń go udowił.

A było tak ze sie ten chłop do lasa z wozem i wołami wybrol i nie wiadomo poco bo drzewa nimioł, z dworskiego by nie broł, boby sie boł tak śmiało jechać. Cosi tam musioł mieć. Na noc sie nie wrócił. Baba w lament, pošli chlōpi rano onego sukać i našli go w niedobrem miejscu ka taki wysoki brzyg. Wóz lezoł wywrócony, ale nie do potoka ba ku ścianie, a chłop po drugij stronie na brzyzku niezyw, okrwawiony. Ziem była dokoła pazdurami zryta, jakby tam sam djaboł tańcowoł jaze strach było na to patrzeć.

No panie chodźmy...»

Wyszliśmy w cichą srebrną noc. Ani jeden oddech wiatru nie zmącił wonnej, chłodnej ciszy. Nieogarnięte mrowie gwiazd mrugało na wysokiem granatowem niebie. Od czasu do czasu wielki meteoryt znaczył się oślepiającą smugą przelotu w otchłani nieba. Szliśmy grzebieniem Jaworzyny ku Tobołczykowi. Po jednej stronie — głęboka roztoka nad Porębą — po drugiej ku Hucisku, skąd dochodził nas stłumiony szmer potoka. Garbate olbrzymy gór, okryte czarnym lasem, śniły swój nieodmienny sen nocy sierpniowej. Gdzieś na wyrębie zbeczał rogacz.

Niestrudzony Stanisław zaczął półgłosem:

«Było to we wojnie. Posełek se na zajoncka, ido, patrz a tu po Basielce idzie dzik za Bukowinom. Maluško sie ozwidniało, przymizolek do niego i beł! a ten do lasa.

Wrócićek sie, aby ślaku nie robić, pośniadałek doma coby sie za ten cas ucisyło. Zajonek babe i wrócilimy tam za farbom sukoć. Widze krew ze ślinami nieobdalno od tego miejsca ka był strzylany. Idem dali, wypatrujem, a ta psiokrew siedzi na tyłku pod pniokę, łeb ma obwiśniętom ale kielcami struze!

Wołam na babe: Hanka pódź!

Jest?

Je — ale ziwy.

Kie wysła nad niego, jaze zbielała na gembie, ni mogła garła ozewrzyć teli koń był wielgi i straszny. Siedlimy se nad nim siedzimy, pocekamy — mówie — jaze zdeknie.

Siedzo, siedzo, jaze popołedniu zabrał sie ten dzik iść, zeseł nizey, ino sie krzoki surajom. Jency, hurcy, co raty, jaze po lesie zgiełcy. Myślem se, słuchać złą krew na cały las: zejdom sie ludzie najdom jego i nas. Ludzi beło dość po lesie a to za jagodami, tu zaś nieobdalno pasom, ej raty! Wycofalimy sie a tu nisy drogi zryte, pełno krwie, poziram do krzoków nade druge a ten lezi nieziwy. Fte o dzika nie było tak trudno jako teraz».

Weszliśmy w ciemną szyję pomiędzy Tobołczykiem a Suchorą. Ogromne buki srebrzyły się w księżycu bezszumnym listowiem. Czarne jedle majaczyły w poświacie wyciągając ku niebu konary. Otaczał nas ze wszystkich stron dech gór. Niedaleko smużyło się w wylocie tunelu owsiane poletko.

«Haw panie ostancie z tego kraja, tchnął mi najcichszym szeptem w ucho Stanisław. Uważujcie on haw z doła wyńdzie. Stancie se na tym kopcu pod jedlom w cieniu i uważujcie pilno. Jo oblecem dokoła na tota strona».

Zniknął jak duch. Otoczyła mię dookoła ciemna pachnąca noc. Oparty o chropawą jedlę zapatrzyłem się w popielatą polanę, w czarną ścianę lasu od której jeszcze głębszą czernią odcinał się mały napół rozwalony szałas. Zwidziały mi się w tym momencie widma tych, co tę ziem deptali w niekończących się tajemnych zbójeckich pochodach. Ożyły ich pieśnią drzewa, góry i polany.

Zwidzieli mi się bacowie pozierający na okraj świata za białym welnistym kerdelem owiec, strzelcy surowi i nieustępliwi, dawny drzewiejszy świat....

Czas płynął w szumie gwiazd. Gdzieś na wschodzie niebo stało się zaledwo bledsze, odezwał się puszczyk.

Noc, przechodzącą w rozbudzenie poranka, rozdarł strzał. Ocknąłem się wstrząśnięty tem nagłym rozerwaniem ciszy. Echo niosło się ku Turbaczowi i wracało, tłukąc się po roztokach. Głośno, radośnie wezwał mię Stanisław. Ruszyłem. Na rosie leżał w czarnej kałuży własnej krwi, duży wycinek.

Uradowałem się dobrym strzałem i wreszcie nie bez cienia zazdrości zapytałem starego wygę:

Powiedzcie mi Stanisławie czemu dziki zawsze najchętniej na chłopów wychodzą?

Chłop panie dzikowi nie śmierdzi! — nie bez ironji odpowiedział stary.

Poręba Wielka — Zakopane, marzec 1938.

